

Bruno Kadyna

Brzydale

– Boże, jakaś ty brzydka.
– Piękniś się odezwał.
Leżymy, patrzymy na siebie. Ja na jej jedynki.
– Masz te szufle jak do odśnieżania.
– Musisz przyznać, że po tej nowej paście są bielutkie. – Przesuwa po nich językiem.
– Przyznaję. Tylko na co klaczy takie białe zęby?
– A na co knurowi brązowe?
Mam żółte zęby od kawy i cygar, bo za rzadko myję.
– Lubię brąz – mówię.
– Aż tak?
– Nie pyskuj, bo cię trącę ryjem.
Chowam się pod kołdrą, Olka jest pełna obaw, bo wie gdzie z tym ryjem powędruję.
Wiadomo gdzie. Tam gdzie trufle.
– Nie, nie. – Próbuje się wykręcić. – Daj mi już spokój.
Jestem pomiędzy jej nogami, trzymam, żeby ich nie zacisnęła.
– Juf nie fofaf... – mówię, ale ona nie rozumie.
– Co? – Uchyła kołdrę.
– Już nie schowasz tej dziupli z miodkiem przed misiem.
– Jakim misiem, dzika świnió?
Olka puszcza bąka, chyba niechcący. Trufle z miodem muszą poczekać, muszą uciekać. Ona nie pomaga, próbuje mnie tam zatrzymać i śmieje się, paskuda.
Wyskakuję spod kołdry i widzę w drzwiach nagiego dziadka Józefa.
– Dziadek, kurde! – wołam.
Próbuję zakryć dupę, sam nie wiem, po co, przecież on sobie stoi z wędliną na wierzchu bez krępacji.
– Zwarcie mi się przez was robi w mózgu – mówię. – Z podniecenia w pierda w nos i na koniec taki widok.
– Dziadek, gdzie masz majtki? – pyta Ola.
– Hihihih. – Dziadek chichocze i ucieka.
– Słowo daję, że on tylko udaje i robi nas w balona – mówię.
– Stał mu trochę, czy mi się wydaje?
– Nie wiem. Mam nadzieję, że nie będzie dzisiaj niedobry.
Dziadek jest raczej pogodny i beztroski, odbija mu w dobrym nastroju, całe szczęście. Kiedy dopisywało mu zdrowie nie bywał taki wesoły. Tłumaczę jego pogodę ducha tym, że to twardziel. Pracował kawał życia w porcie przy załadunkach, trenował podnoszenie ciężarów i przeżył wojnę. Wciąż ma odłamki pod skórą głowy. Opowiadał kiedyś, jak uciekł z transportu do obozu, jak musiał kombinować, żeby

utrzymać przy życiu rodzinę, bo ojca zabili, a on był najstarszy z rodzeństwa.

Był zdolny i zaradny, przez lata właściciel firmy zajmującej się transportem międzynarodowym.

Sprawia wrażenie, jakby nie brakowało mu dawnego życia. Nie przeszkadza ciągle zapominanie, ani to, że nie może poukładać w głowie prostych czynności. Jakby z otępienia zrobił beztroskę i mięciutko się w niej wymościł.

Czasami tylko się wścieka i jest agresywny. Wtedy próbuje się ze mną bić.

Uwielbia Olkę. Obmacuje ją przy każdej okazji, gdy ta tylko się do niego zbliży. Jest tym już tak zmęczona, że wczoraj nawet nie zabrała cycka, kiedy złapał, dopóki nie wytarła stołu. Józek się rozochocił i zaczął gnieść łajdaka przez spodnie od piżamy.

Dziadek codziennie zwiedza mieszkanie, jakby był tu pierwszy raz. Zazwyczaj wpada na jakiś pomysł i coś odwala. Co chwila znajdujemy buty w lodówce albo w śmietniku, czy inne rzeczy w miejscach, w których być nie powinny. Poupychane żarcie w szufladach, pewnie na potem. Książki w ubikacji wkurzają mnie najbardziej. Rozpakowane masło często ląduje na pralce, przepychacz do kibla w kuchennej szafce. Ile razy się gdzieś zesrał i schował to albo się pochwalił.

Jestem wdzięczny, że robi to z klasą, a nie rozmazuje po ścianach jak naćpany dopalaczami szczeniak.

Grand Józek przyszedł do mnie niedawno ze stolcem w ręku przypominającym dewolaj i zapytał, gdzie to dać? Zorientowałem się, że znów jest w robocie, w której nie był od pięćdziesięciu lat, i trzeba mu dać wytyczne.

Powiedziałem, że świetnie, że pyta i zaprowadziłem do kibla.

– Zrzut na dostawy małogabarytowe. – Pokazałem palcem na muszlę.

„Część” wpadła z pluśnięciem.

– Ssanie pompy. – Spuściłem wodę.

– Tak jest. – Zrozumiał instrukcje majstra.

– BHP i higiena pracy. – Na koniec pokazałem na jego dłoń i na umywalkę.

– Oczywiście. – Wzorowo umył ręce.

Dzięki tej metodzie skłaniam go do samodzielnych kąpiel. I oby udawało się to jak najdłużej.

Lubię wchodzić z nim w różne role. Zazwyczaj wpływa to na niego dobrze, ale miewa też skutki uboczne. Po akcji z dewolajem mnóstwo drobiazgów wylądowało w kiblu.

Fajnie, że z posiłkami nie ma problemu. Niektóre chore osoby plują albo nie jedzą wcale. Dobry apetyt dziadkowi nie minął. Zawsze dużo jadł, przy czym był żyłasty i silny. Dlatego nie było łatwo go ściągnąć do domu, kiedy nam uciekł.

Udało mu się zwiać kilka razy. Chce odwiedzić dom rodziców, który już nie istnieje. Za pierwszym razem powiedziałem, że już od dawna go nie ma i że bardzo

mi przykro. Powiedział, że pieprzę głupoty i chciał się bić. Teraz, ilekroć chce wracać do domu, mówię, że dziś nie możemy, ale pojedziemy jutro. Kolejnego dnia to samo i tak w kółko.

Jego mózg pragnie wrócić do bezpiecznych uczuć z dzieciństwa. To znaczy, że nie jest z nim dobrze i trzeba się szykować na stopniowe pogarszanie.

Dwa miesiące temu Józek podarł wszystkie pieniądze, jakie miał. Gdybym wiedział, że to zrobi, zabrałbym mu i napił się z nim za to wódki.

– Ciekawe, czy dziadkowi zaszkodziłby alkohol? – pytam zakładając spodnie.

– Znieczuliłoby go i tylko by napaskudził.

Uśmiecham się do niej. Nastawiamy się na nowy dzień.

– Fajnie, że jesteś przy mnie, Friku – mówię.

– Fajnie, że jesteś ze mną, brzydalu.

Podjęliśmy decyzję, że pierwsze lata małżeństwa poświęcimy dziadkowi. Zrobił dla innych tak wiele, że powinien dostać medal.

Piątka jego dzieci ustaliła, że dom rodziców dostanie ten, kto się nim zaopiekuje. Nikt nie chciał, to się zgłosiliśmy. Dla nas to duża sprawa zająć się Grand Józkiem. I kto nie marzy o domu z ogrodem.

Tylko moja mama odwiedza ojca, reszta ma gdzieś, od kiedy choroba przybrała na sile. Tłumaczą, że dziadka już nie ma. Wygodne usprawiedliwienie. Tylko że nic nie zmienia. Nawet jeśli ich ojciec pojawia się rzadko, to nie zniknęło jego ciało.

Straszne, co robi z człowiekiem ta choroba. I jak obnaża serca bliskich.

Minęło pół roku. Rozumiem już, co czują ludzie, którzy opiekują się podobnie chorymi, dlaczego puszczają im nerwy. Chociaż my z dziadkiem nie mamy takich problemów, jak niektórzy. Zazwyczaj jest luz. Dziadek lubi na przykład patrzeć, jak pracuję. Dla niego komputer to czarna magia. Siedzi jak zaciekawione dziecko i czasami zadaje pytania, a ja mu opowiadam, że teraz jesteśmy w banku, zaraz potem w urzędzie, a on się zachwyca.

Zaczynamy nowy dzień. Wchodzę do pokoju Józka. Siedzi na łożku, wyprostowany i ubrany w piżamę. Przed chwilą machał do nas fajfusem.

– Wiedziałeś, że ja przyjdę, inaczej byś się nie ubrał, co?

– Nie.

Rozglądam się po pokoju za czymś podejrzanym i patrzę na niego, a on dodaje:

– Kobitka dupiasta musi być, prekrasny. – Popatrzył w kierunku drzwi, chodzi mu o Olkę. – Ta je brzydka, ale ma dobrą dupę.

– Zgadzam się.

Dziadka ulubione przezwisko Olki, Dobra Dupa.

– Ty ją znasz? Ona mieszka niedaleko? – pyta jak co dzień.

– Bliżej niż myślisz, dziadek. Jemy śniadanie?

- We francuskiej kuśka długo nie stoi.
- O czym ty mówisz?
- Bubububububu!

Słowo daję, mam wrażenie, że robi mnie w bambuko. Mówi normalnie i nagle, bach! Leci „Dobra Dupa” albo jakieś zdanie z kosmosu kompletnie niepasujące do rozmowy, albo „bububu” podskakują sflaczałe poliki.

- Byłeś kiedyś we Francji, dziadek?
- Francuskie rogaliki i dobre dupy. – Omiótł dłonią głowę.

Nie ma co ciągnąć tej rozmowy.

– Ładna dziś pogoda – mówię. – Zjemy śniadanie w ogrodzie. Poczujesz się jak w ogródku francuskiej restauracji. Świeże rogaliki albo bagietki to byłoby coś.

- Dobra Dupa.
- Tak jest. Będzie i ta.

Olka leży w wyrze.

- Jemy śniadanie w ogrodzie, zasańcu – mówię.
- Kto taki? – pyta obrażonym tonem.

– Myślałaś, że zapomnę to nieczyste zagranie pod kołdrą, Friku? Ty nie jesteś dobra dupa, tylko śmierdząca. Mam ci tam zrobić strefę zakazaną? Kwarantannę na jakiś czas?

– Nie, błagam, nie! – Wierzchem dłoni dotyka teatralnie czoła. – Nie pozbawiaj mnie tej rozkoszy, mój panie. Nie przeżyję!

- Pieprznietta.
- Okaż łaskę, niech to będzie jeden dzień.
- Niech będzie.

Rznąę twardziela, jak dziecko nieświadome, co się za moment stanie, że sam się ukarałem.

Olka na gołą pupę ubiera kuse spodenki sportowe, które tak uwielbiam. Szczególnie ściągając je z tego rozgrzanego tyłka. Już teraz nie mogę oderwać wzroku i zamknąć japy, a jeszcze nie wyszliśmy z pokoju, jeszcze nie zaczęła kręcić tyłeczkiem w ogrodzie, niby bezwiednie, beztrąsko skakać jak nastolatka, bując się wysoko na huśtawce. Wszystko specjalnie, żeby mnie szlag trafił.

- Brzydki, złośliwy orangutan – mruczę pod nosem.

Udaje, że nie słyszy.

- Idę ubrać Grand Józka – mówię.
- Zrobię śniadanie.

Dziadek ma ochotę iść do ogrodu, bo współpracuje przy ubieraniu. Zakłada luźną koszulkę i spodnie dresowe.

- Powiem ci, że dzisiaj Dobra Dupa jest wyjątkowo dobra. Załatwiłem ci – mówię. Grand Józek wierci się wyraźnie ożywiony.
- To będzie ciekawe śniadanie – dodaję.

Czekamy z dziadkiem, aż Ola przyniesie jedzenie. Niebo jest czyste. Słońce wysusza ziemię bezlitośnie. Oby nie zabrakło wody.

Siedzimy na tarasie pod zadaszeniem, jest cicho i przyjemnie. Dziadek nic nie mówi, jest spokojny, przeżywa coś w środku.

– Brzydale!

Wylażł dzieciak sąsiadów. Od jakiegoś czasu nas wyzywa. Powtarza po starych pewnie.

– Brzydale! – wrzasnął jak ptak jakiś.

No nie jesteśmy urodziwi.

– Morda, kundlu! – dziadek krzyczy na całe gardło.

– Dziadek, cicho, to tylko dziecko. Ola idzie.

Moja brzydula pojawia się na tarasie, stawia pokazną tacę na stole.

– Dobra Dupa – mówi Józek.

– Dokładnie – przyznaję.

Ola pochyla się nad stołem. Założyła koszulkę z dużym dekoltem, nie ma stanika.

– Proszę, jajeczniczka na boczusiu – mówi i rozstawia talerze. Zdejmuje z tacy imbryk z herbatą i filiżanki.

Dziadkowi wpatrzonemu w cycuchy podryguje lewa noga, jakby siedział w kącie na wiejskiej zabawie i podobała mu się muzyka.

– Brzydka gęba, dobra dupa – mruczy pod nosem.

– Dziadek, bądź miły – mówię.

Nalewam nam herbaty. Olka odchodzi.

– Nie jesz z nami? – pytam.

– Nie jestem głodna.

Skacze przez ogród jak sprężynka, kręci tyłeczkiem. Oliwkowa skóra nóg lśni od balsamu.

Celem jest huśtawka, tak myślałem.

Olka siada na plecionym siedzeniu i odrywa nogi od ziemi. Z jej perspektywy musimy wyglądać jak tych dwóch dziadków na balkonie w „Muppetach”, wpatrzeni w nią jak psiaki w boczek.

Dziadka hipnotyzują jej błyszczące w słońcu nogi. Nie trafia widelcem do ust i jajecznicza spada z pacnięciem na stół.

– Czy towarzystwo Grand Józka mnie postarza, Frikus? – pytam.

– Zdecydowanie.

– Wiedziałem. Dziadek, jedz ładnie. Dziś sobota. Po śniadaniu odpoczniemy,

wypijemy kawę i zabierzemy się za ćwiczenia.

– Dobra Dupa – mówi dziadek.

Olka się uśmiecha.

– Na bank poćwicz z nami – mówię. – Nie wstawaj, dziadek.

Już skończył śniadanie, już chce poćwicz z Olką. Powstrzymuję go i wkładam widelec do ręki.

– Skończmy najpierw śniadanie – mówię.

Olka się buja i nęci, a kiedy Józek nie patrzy, rozchyła nogi. Nic nie widać z tak daleka i ma spodenki, ale to przekaz do mojej wyobraźni.

– Brzydale! Brzydale! – Znowu ten dzieciak.

– Bubububububu...!

– He, he, he, cicho, dziadek – mówię.

– Bu, bu, bu! – woła dzieciak.

– Morda, kundlu!

– Dziadek, to tylko dziecko.

Przeprosiłbym sąsiadów za Józka, ale najwyraźniej nazywają nas brzydalami przy dzieciaku i pozwalają nas wyzywać, więc mam to w nosie. Chociaż może by się zastanowili nad sobą, gdybyśmy zrobili pierwszy krok?

Gówniarz sobie poszedł. Czas na gimnastykę na trawie. Olka, jak Chodakowska, ale brzydsza i z większą dupą, pokazuje przed nami, my za nią powtarzamy. Wypina nam dupsko przed oczami i nie zdaje sobie sprawy, że przegięła. Nie ma majtek i widać jej psiochę, kiedy się pochyla, a niżej w tle dyndają piersi, bo duża koszulka luźno zwisa i niczego nie zasłania.

Dobrze, że sąsiedzi jej tutaj nie widzą, tylko trochę mnie i dziadka.

Grand Józek ślini się i pochyla pokracznie, nieudolnie naśladuje Olkę, byle tylko patrzeć. I fajka mu stoi, tak na sześćdziesiąt procent, oceniając w ruchu i przez spodnie.

– Kończymy gimnastykę – mówię.

– Co ty? Dopiero rozgrzewka. – Olka się rozpromienia.

– Wszystko ci widać, pasztecie.

– Dobra dupa.

– Prawda, dziadek? – Olka się cieszy.

Rozbawione babsko patrzy na moje krocze i na zgiętego dziadka, który próbuje ściągnąć spodnie.

– A teraz Grand Józek cię wygrzmoci – mówię.

Olka się śmieje i ucieka do domu, a ja powstrzymuję Józka i podciągam mu portki z powrotem.

Nie podoba mu się to. Wrywa się i unosi pięści.

– Stawaj! Stawaj, mówię! – krzyczy.
Zaczynam się śmiać. Co za obrazek. U mnie erekcja opada, u chorego na Alzheimera dziadek ma się dobrze. I bić się mamy. Ja trzydzieści lat, on sto pięćdziesiąt.

– No nie będziemy tu teraz walczyć o babę. Leć dziadek za nią, ustępuję pola.
Oficjalnie się odsuwam. Wolę, żeby robił porotę w domu.
Dziadek się nie waha, pędzi do środka, zboczeniec pokraka. Ciekawe, jaką by miał minę, gdyby się teraz zobaczył jako dwudziestolatek.
Idę za nim, obronię przygłupa, czyli Dobrą Dupę. Dziadek ma resztki dawnej krzepy i mogłaby mieć kłopoty.
W przedpokoju mijamy duże lustro. Grand Józek się zatrzymuje.
– Znajdź se inną babę! – drze się do swojego odbicia. – I wy też! – Teraz do mnie i do mojego odbicia.
– Dziadek, co ty na to, żebyśmy pojechali do domu? – pytam.
Muszę go uspokoić, odwrócić uwagę, potem coś wymyślę.
– Tera nie trza.
Idzie do naszej sypialni, szuka Olki. Nie ma jej tam, zamknęła się w łazience. Jestem pierwszy pod drzwiami.
– Ona je tam? – pyta Józek.
Ściska przez spodnie fajfusa.
– Tak. Po niej ja wchodzę – mówię.
Może powinno być mi przykro, że dziadek już prawie nie jest sobą, ale wiem, jaki był. Chwilami miałby z siebie ubaw.
Choćby zamienił się w niemowlaka albo potwora, będzie miał wszystko, czego trzeba, i nie poczuje złych emocji.
– Wchodź do niej tera, ja poczekam – mówi.
Tak by było najlepiej. W końcu to ja powinienem się dobrać do Dobrej Dupy.
– No wchodź – mówi i idzie do swojego pokoju.
Dziwne to było. Czekam i idę zajrzeć, czy czegoś nie wykombinował.
Usiadł na łóżku i patrzy w okno. Może właśnie, żeby coś zaplanować.
Wydaje się, że będzie tak chwilę siedział. Idę do kibla.
– Friku, otwórz, to ja. – Pukam.
Olka mnie wpuszcza i zaraz wraca do malowania szpetnego ryja czy co tam robi przed lustrem przy umywalce.
– Co z Józkiem? – pyta.
Siadam na zamkniętym kłopie. Wraca świeżutkie wspomnienie, jak wypinała dupsko w ogrodzie.
– Siedzi w pokoju, kontempluje stójkę – mówię. – Zobaczysz, on cię kiedyś przyuważy wypiętą, jak wycierasz podłogę czy coś, ściągnie ci gacie i wydyma.

– Poradzę sobie. A co z twoją? – pyta Olka.

– Z czym moją?

– Stójką.

– Rozładuję.

– Tutaj, teraz?

– A kiedy, Frikus?

Już klęczę za nią i zsuwam jej spodenki. Kiedy jestem w połowie pupy, ona to przerywa.

– A co ze strefą zakazaną? – pyta.

W pierwszym odruchu, na wspomnienie porannego warknięcia dupy, mrużę przed nią oczy, gotowy się uchylić.

– Dzisiaj nic z tego – dodaje i podciąga spodenki z powrotem.

Udaje mi się tylko cmoknąć tam, gdzie się kończy rowek.

– Nie no, co ty, poważnie? – pytam.

– Sam powiedziałeś, że dziś kwarantanna. Dziękuję ci, że tylko dzisiaj, dłużej bym nie wytrzymała.

Sadystka. Przecież nie ma jeszcze południa! Trzeba błagać!

– Zwalniam, ułaskawiam! Friku...

– Niegodna jestem twej łaski, zasłużyłam, nie mogą kary cofnąć nawet twoje słowa.

Zaraz mnie tu szlag trafi!

– Dotknij berła, będziesz zwolniona z kwarantanny!

Olka ucieka z łazienki, kiedy ściągam gacie.

– No weź...

Zostaję sam jak ta pała. Siedzę chwilę i wychodzę. Co innego robić? Czekać, aż skończy się kwarantanna.

Dobrze zrobi mi cygaro i kawa. Najpierw idę sprawdzić, co u Józka.

– Jak tam, dziadek? O!

Siedzi przy stole, ubrany w swój najlepszy dwurzędowy garnitur, noga założona na nogę. Założył nawet buty. Twarz poważna, a wzrok wolny od choroby. Tak się przynajmniej wydaje.

– Pozwolisz, młody? – Obraca w palcach jedno z moich cygar.

Zachowuje się jak w klubie dżentelmena.

– Jasne, częstuj się.

Prosta rola, ale jaka przekonująca.

– Napilbyś się do tego whisky? – pytam.

– Możesz nalać szklaneczkę.

Olka pojawia się w drzwiach.

– Chyba mu nie nalejesz? – pyta.

Dziadek pokazuje cygarem na kanapę.
– Dobrze, żeś przyszła, młoda. Siadaj – mówi.
Olka siada zaciekawiona. A ja tuż obok. Przecież nie pójde i mu nie naleję.
– Tylko ręce przy sobie – szepcze do mnie paskuda.
Dziadek patrzy na nas dobrodusznym wzrokiem. Brakuje tylko kapelusza i modny strój prawdziwego międzywojennego warszawiaka gotowy.
– Brzydale jesteście, słowo daję, ale najpiękniejsze – mówi i uśmiecha się szeroko.
– Ty też już nie jesteś Alain Delon – mówię.
Miło się zrobiło.
– Czas na prawdę – mówi Józek.
– Jaką prawdę? – pytam.
– Wybacz umizgi, młoda. – Puszczą do Olki oczko. – Naprawdę, świetna dupa i co żem pomacał, to moje.
– No wiesz co – Ola udaje oburzenie.
Dziadek zawiesza się na chwilę.
– O czym mówił?
– Prawdę – podpowiadam.
– Powiem prawdę, o co chodzi. Udaję chorobę. Jej, jej, jej, jej... No, powiedz młody...
Jestem zdziwiony. Jest jej świadomy?
– Nie wiem co chcesz powiedzieć – mówię.
– Stopień nie taki. – Szuka słów.
– Stadium – domyślam się.
– Racja. Nie takie stadium, jak wam funduję.
Olka siedzi przymurowana do wersalki, nie wiem, o czym myśli. Może o tym, o czym ja. Czy to prawda, czy ściema. Dziadek jest przekonujący, wydaje się kumać, co gada. Gdyby to była jakaś rola, nie byłoby tak składnie. To, co mówi dalej, rozwiewa wątpliwości.
Uśmiecha się do nas serdecznie i prawdziwie, jak do dzieci. Jak nigdy wcześniej.
Wpada mi do głowy pomysł, że on jest świadomy tego, co zazwyczaj robi, ale nad tym nie panuje i nie może przestać. Nie może też wyrazić, co czuje w środku, ale teraz, w ostatnim rozbłysku zjadanej osobowości, wszystko nam powie, a potem gwałtownie mu się pogorszy.
– To ja się odbijam w lustrze – mówi. – Gadam głupoty, paplam bez sensu. Nie chcę się bić z tobą, młody, nie bój się, ale zapasy dobre dla sportu. – Puszczą oczko.
– Domu rodziców dawno nie ma, wiem to wszystko, ale gadałem o nim, bo popytałem, jak się choruje potem, jakie są zachowania. Najtrudniejsze z głównem było, wybacza mi, ale było konieczne dla wiarygodności. Dla sprawdzenia.
– A jakże – mówię. – Sprawdzenia czego?

Nie wierzę, że przez pół roku udawał.

– Żeby sobie pomacać. – Olka wypala. Chciała się przy tym złapać za cycki, ale się opamiętała, żeby nie zwrócić na nie uwagi.

– Musiałem wiedzieć, jakie ludzie jesteście... – Mruży oczy, uciekły mu myśli.

– Jakie ludzie jesteście... Jakie...

– Z jakiej gliny – podpowiadam.

– Tak jest. Złe czy dobre.

– Tylko po co, dziadek? Chcemy być dla ciebie dobrzy w każdej sytuacji. Musiałeś sprawdzać, jacy będziemy dla ciebie później? Bez sensu.

Zawiesza się. Wciąż mam wrażenie, że zaraz coś odwali, że to tylko projekcja chorej głowy.

– Dziadek, po co nas sprawdzałeś? – pyta Ola.

– Co sprawdzałem?

– Dlaczego sprawdzałeś, jacy będziemy dla ciebie później?

– Nie chodzi o mnie. Chodzi o to, czy zrobicie jak trza. Już wiem, że tak. Idź młody, nalej tej whisky, zapalim po cygarku.

Jest tak przekonujący, że wstaję.

– Tylko nie w domu – mówi Ola.

– Nikt nie może słyszeć, o czym mowa. Wytrzymasz smrodu – mówi dziadek.

– Ty też chcesz whisky? – pytam żonkę.

– Nalej.

– Zuch baba, z dobrą dupą. – Józek puszcza do niej oczko.

– No wiesz... – Ola się uśmiecha, ale jest zdezorientowana.

Nic nie rozumiem, ale chętnie się dowiem. Stawiam, że zaraz mu odwali.

Idę do naszego pokoju po whisky, cygare dla siebie, obcinarkę i długie zapałki.

Wracam. Józek siedzi jak siedział, noga założona na nogę, buja nią sobie i patrzy na Olkę. Dziewczyna trzyma ramiona w pozycji zamkniętej, trochę się boi tej nieznanej dotąd pewności siebie.

Stawiam na stole szklanki i szykuję cygare dla dziadka, zapalam zapałkę i mu podaję. Zbliża ją do cygara bez cienia oznak chorobowego świrowania, nawet ręce mu się nie trzęsą zbytnio.

Pufa jak lokomotywa. Widzę, że nie raz palił. Nie miałem o tym pojęcia.

– Dobrze? – pytam.

– Dobrze.

Pierwszy raz widzę taki luz u niego. W żadnej roli tego nie było. Nawet kiedy był zdrowy, lubił samotność, zawsze małomówny, ciągle spięty, cały czas na czymś skupiony.

– Niosę ciężar przez życie – mówi dziadek. – W czasie wojny działałem w podziemiu. Pod koniec dużo się działo, ale wszystko się pomieszało, jedno z drugim.

W głowie pomieszało.

Zapada cisza, tylko zegar tyka. W górę płyną strużki dymu z naszych cygar.

– I co dalej? – pytam.

– Co?

– Co się pomieszało?

– Co pomieszało? – pyta Grand Józek.

Wydaje się zdezorientowany.

– Dziadek, o jakim ciężarze mówileś? – pyta Ola.

– Ciężaru się nie zapomina, czuć go, dopóki nie zrzucisz – mówi.

Cisza. Znowu się zawiesza, wytrzeszcza oczy na dywan, na przestrzeń za nim.

– Co to za ciężar? – pytam.

Ocknął się.

– Ta. Pod koniec wojny, jak pracowałem w porcie, udało się zamienić papiery i wyrolować Niemca. Trzy wagony z obozu Stutthof zamiast na statek trafiły na bocznice w krzaki dla nas do rozebrania. Trzy wagony starych łałów poszły zamiast tego.

Przerywa, pociąga cygaro i popija whisky. Znowu nie podejmuje wątku z powrotem, tylko gapi się na Olkę.

– I co z tymi wagonami? – pyta Ola.

– To komendant obozu, Paul Werner Hoppe wysłał wagony. Miały iść do Argentyny. Okradł SS. Chciał uciec bogaty, bandyta.

Znowu zawiecha. Tym razem czekamy, może sam zaskoczy. Pijemy i palimy w ciszy.

Dziadek tylko pod naciskiem, po prośbach opowiadał, co przeżył w czasie wojny. Wszyscy wiedzieli, że o wielu rzeczach nie mówił. Nie wiadomo, ile historii zje choroba, przypadną na zawsze. Ile już przypadło.

– To się ten Hoppe dziwił w tej Argentynie – mówię.

– Nie zdążył. Statek nie dopłynął do Argentyny, kiedy złapali tego mordercę. Chciałbym zobaczyć jego gębę, jak się o łałach dowiedział.

– Myślisz, że się dowiedział?

– To bydle wyszło z więzienia po kilkunastu latach. Zmarł w siedemdziesiątym czwartym w Niemczech. Na pewno wiedział. – Nagle zmienia temat. – Tego gnoja sąsiadów, co się wydziera, trza uciszyć, złoić szczeniakowi w końcu skórę...

– I co było w tych wagonach? – pyta Ola.

– Łachy.

– W tych, które zdobyliście.

Józek pociąga cygaro, popija whisky i znów się zawiesza, ale tylko żeby zebrać myśli.

– We trzech rozbieraliśmy wagony po trochu. Ostatni wagon rozbierałem sam, bo

Władka zabili, a Henryka aresztowali, a potem też zabili. Mieliśmy rozkaz ukryć zdobycze, a potem przekazać dowódcy. Tak zrobiłem, ukryłem, ale potem wszystko się rozpadło i nie było komu przekazać. A przed ruskimi trza było ukryć, bo wywozili do siebie, co się dało, i jeszcze by zabili, żeby zatrzeć ślady.

Wstaje, prostuje plecy. Dopija whisky i patrzy na nas.

– Dziadek, ty jesteś prawdziwy Grand Józek – mówię.

– Chodźta. – Wychodzi z pokoju.

Idziemy za nim do piwnicy, do jednego z pomieszczeń, gdzie ma swój warsztat, samotnie, w której przesiedział tysiące godzin. Babcię przez to szlag trafiał, ale lubiła mieć wszystko od razu naprawione.

Teraz Józek spędza tam godzinę, dwie dziennie i kręci się w pobliżu z ręką w kieszeni, gdzie spoczywa klucz. Warsztat jest mały, mieści się tu tylko wielkie biurko, krzesło i blaszany regał. Porobione półki, wieszaki to o wiele za mało. Graty piętrzą się pod sufit, pomieszczenie nimi zarosło.

Dziadek nie wchodzi, tylko pokazuje palcem i mówi do mnie:

– Włóż pod biurko.

Włożę, jakkolwiek dziwnie to zabrzmiało.

– Odsuń dywanik, tam je pokrywa betonowa w żelaznej ramie.

– Widzę.

Dziadek sięga po mały łom i mi podaje.

– Tym podważ.

Niewygodnie pod tym biurkiem i pokrywa nie jest lekka. Nie miałem o niej pojęcia. Moi rodzice chyba też nie. Dziadek wybudował dom po wojnie i to pomieszczenie od początku jest tylko jego.

Moim oczom ukazuje się ciemnozielona drewniana skrzynia z wielką swastyką na wierzchu. Na niej leży coś zawinięte w szary materiał. Sięgam po to i po kształcie i ciężarze wydaje mi się, że to pistolet w kaburze.

– Daj to – Józek wyciąga rękę. – Wyciągnij skrzynię.

Ciężka, muszę się zaprzeć, żeby ją wy dostać ze skrytki, a potem jeszcze wygramolić spod biurka.

– Na stół. – Pokazuje starczy palec.

Stawiam, zasapałem się. Dziadek wyciąga skobel zamka, zawiasy skrzypią, pokrywa się otwiera.

– Dwa kilo każda – mówi.

Nigdy wcześniej Olce i mnie nie zrobiły się tak duże oczy na widok czegokolwiek. W skrzyni leżą obok siebie jak śledzie – cztery dwukilowe sztaby złota. Na każdej wybita swastyka, a pod nią słowa:

DEUTSCHE
REICHSBANK

2 KILO
FEINGOLD

999,8.

– To połowa. Cztery poszły na dobro przez lata. Te czekają od dawna na was.

Patrzę na wyraz twarzy Olki. Co się teraz musi dziać w jej czaszce. Sam jestem w szoku i dławieję pchające się wybuchy radości.

– Możecie wziąć trochę, żeby nie czuć się źle, odpędzić głupie myśli – dodaje dziadek.

Trochę? To nie wszystko dla nas? Patrzę na niego pytająco. Uśmiecha się serdecznie.

– Brzydale jesteście, ale najpiękniejsze – mówi. – Wiem, że zrobicie dobrze. To złoto z cierpienia, trzeba je wydać na dobro. Tera macie te komputery, to łatwo znajdziecie, gdzie pomóc. Robiłem, co mogłem, szukałem, żeby wykorzystać słusznie i mieć spokojne sumienie. Po cichu, żeby nie było wiadomo, kto. Raz podpisałem, że pomogli „pomordowani”. Taka prawda, ja tylko pośredniczę. A tera wy będziecie.

– Po to nas sprawdzałeś? – pyta Ola.

– Ta. Jesteście dobrzy ludzie. Musiałem być pewien.

– Nie myślałeś, żeby to oddać jakiejś instytucji albo fundacji?

– Nikomu nie ufaj, złodziejem może się stać ten, co wcześniej nie kradł. To muszą być sprawdzone, uczciwe ludzie. Dla siebie brałem tylko, kiedy była bieda, ile trza do przeżycia, żeby dzieciaki nie głodowały. Wy spłaćcie długi, hipotekę, remontujcie w chałupie, co musicie, i życie spokojnie, ale pamiętajcie, że przekazuję to na wasze sumienia. Nie zapominajcie, kto właściciel prawowity, mimo że nie może tym rozporządzać.

– Ciekawe, z ilu istnień to złoto? – pytam.

– Nikt się nie doliczy. Hoppe ukradł i zatuszował.

Najprawdopodobniej jest tak, jak myślę, że to przetopiona biżuteria, pamiątki, obrączki ślubne, złote zęby zamordowanych niewinnych ludzi.

Zapada cisza. W natłoku myśli wypływa jedna.

– Co jest tam zawinięte? – Pokazuję na przedmiot w jego ręku, który leżał na skrzyni.

– To - Luger. Z pełnym magazynkiem.

Odwija i pokazuje charakterystyczny niemiecki pistolet w idealnym stanie.

– Skąd go masz? – pytam.

Nie odpowiada, zawija z powrotem.

– Na razie niech leży, potem się pomyśli, co z nim – mówi.

Zamykam skrzynię.

– Działa? – pyta Ola.

– Regularnie czyszczony i smarowany. Chowaj, młody, na miejsce.

Chowam wszystko z powrotem.

Przez resztę dnia mało rozmawiamy, głównie rozmyślamy, szczególnie ja i Olka. Kompletnie nie wiemy, jak ugryźć temat, jak spieniężyć złoto, nie wzbudzając podejrzeń. Odebraliby nam zaraz, gdyby się dowiedzieli.

Grand Józka zapytam, jak to robił. Nawet nie zauważyliśmy, że już go nie pilnujemy.

Jest u siebie w pokoju, siedzi przy stole z długopisem w ręce, otwiera notatnik. Z gramofonu leci stara muzyka, inna płyta od tej, którą zazwyczaj każe sobie puszczać.

– Dziadek, a jak sprzedawałeś złoto? – pytam.

– Złoto, złoto...

Zawiecha.

– Dziadek.

– A ty nie miałaś przyjechać innym razem? – Józek dziwnie na mnie patrzy, marszczy czoło. – Gdzie jest babcia? Oni nie przyjadą zaraz?

– Babcia? Kto ma przyjechać? – pytam.

Zorientował się, że coś jest nie tak. Babcia nie żyje już pięć lat.

– Co chciałeś? – pyta.

– Jak sprzedawałeś złoto?

– U znajomego jubilera. Dawno nie żyje. Znajdź kogoś, kto nie będzie pytał. Za każdym razem to samo złoto, ta sama próba, może się domyślić, że to z czegoś większego. W warsztacie mam małą piłkę, tygiel złotniczy i palnik z butlą. Tnij po kawałku, zbieraj opiłki i przetop w gluta, niech nikt nie widzi, że to od sztaby.

– Jasne, dzięki. Wszystko dobrze, dziadek?

Spogląda na mnie, jakby nie wiedział, o co mi chodzi. Oczywiście wie.

– Nic mi nie jest, młody.

Skupia się na notatniku, chce, żebym już poszedł.

Patrzę na niego przez moment. Chwila normalności wystarczyła, żebym zapomniał, że jest chory.

Zjedliśmy razem obiad. Dziadek nie był rozmowny. Poprosił o jeszcze jedno cygaro, szklankę whisky i poszedł do ogrodu.

Patrzyłem z okna, jak siedzi na ławce. Wciąż w garniturze, z nogą założoną na nogę, raczył się cygarem i whisky.

Zrobiłem mu zdjęcie i poszedłem do komputera, nieświadomy, że widziałem go ostatni raz w życiu.

Idę do niego później, ale go nie ma. Na stole leży kartka. Mam co do niej dziwne przecucie, dlatego olewam ją na razie i szukam Grand Józka.

- Friku, dziadek zniknął.
- Może jest w swoim warsztacie?
- Nie ma. Zostawił na stole jakąś kartkę.
- Co tam jest?
- Nie patrzyłem.
- Jesteś niepoważny. – Olka idzie do pokoju dziadka.
Bierze kartkę ze stołu.

Ola i Kuba!

Nie jestem wylewny, nie umiem, cholera z tym!

Brzydacie jesteście, ale najpiękniejsze! Mądrze rozporządzajcie złotem, ono nie jest nasze, trza je spożytkować na dobro. Jestem pewien, że tak zrobicie.

Ze mną już koniec. Do końca żywota muszę zostać sobą i to właśnie się kończy. Za nic się nie zamienię w to, co udawałem. Wybaczta jeszcze raz, szczeniaki, te wyglupy.

Nie szukajcie mnie. Dawno wszystko zaplanowane.

Może się jeszcze kiedyś spotkamy. Bywajcie! J.

Zegar tyka w ciszy, nie zatrzyma się jak my, jemu jest wszystko jedno, co się dzieje. Ola trzyma się za usta i płacze, ja wychodzę. Idę do warsztatu dziadka i włączę pod biurko, odsuwam dywanik i podważam pokrywę.

Lugera nie ma. Tak myślałem.